„Głos Narodu“ Ilustrowany.

# NOWI DYGNITARZE.

Wierzchołki władz galicyjskich zatrzęsły się... Opadł z nich cały szereg postaci, które kraj przyzwyczaił się przez długie lata widzieć u szczytu spraw swoich, dominujące nad wszystkiemi dziedzinami życia — jeśli nie zawsze duchem, to potęgą urzędowego stanowiska. Pierwsza zaczęła »przesuwać« figury wysokie i najwyższe na szachownicy naszego życia publicznego śmierć-kosiarka, w ciągu krótkiego czasu zabrawszy trzech arcybiskupów i dwóch biskupów, zamianowanie ks. Teodorowicza arcybiskupem ormiańsko-katolickim we Lwowie, uzupełnia przerzedzone szeregi książąt kościoła postacią — podobnie, jak niedawno mianowani arcybiskupi rzymsko- i greckokatoliccy — młodą, daleką od wieku, w którym zwykliśmy widzieć książąt Kościoła, wrzącą zapałem i siłą do wcielania skrystalizowanych już idei swego żywota.

Dalszy szereg zmian sprowadziła nie tak straszliwa jak śmierć, a również nieubłagana pani i władczyni — polityka. Z jej woli ustępuje z fotelu marszałka krajowego hr. Stanisław Badeni, robiąc miejsce hr. Andrzejowi Potockiemu; z wiceprezydentury Rady szkolnej krajowej ustępuje dr. Michał Bobrzyński — powołany na to stanowisko został p. Edwin Płażek; godność zaś prezesa Wydziału krajowego po p. Chamcu ma objąć obecny delegat namiestnictwa w Krakowie, p. Laskowski.

Czy zmiana osoby wszędzie oznacza także zmianę kierunku — i w jakim duchu? Odpowiedź stanowcza nie jest możliwa.

Nowi dygnitarze, tak kościelni jak i świeccy, są prawie bez wyjątku ludźmi w kwiecie wieku. Czas nie zdołał jeszcze zwarzyć ich inicyatywy i energii, nie dał im jednak także tego niezbędnego mężowi publicznemu bogactwa jakiem jest szerokie doświadczenie życiowe. — Wszyscy są wychowankami nowszych czasów, nowszych szkół, i wynieśli z nich najwybitniejsze ich znamię: kry-



**Hr. Dr. Andrzej Potocki**
nowy Marszałek krajowy.



**Hr. Andrzejowa Potocka**

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z 5 październ. 1901 r.

tycyzm. Krytycyzm surowy, nieubłagany odnośnie do stosunków galicyjskich znajdujemy nietylko w wystąpieniach wszystkich odcieni lewicy kraju, lecz także — legitymistów naszych, prawicy, neo-konserwatystów. Ze wszystkich stron, ze wszystkich ust wydziera się jeden okrzyk: tak jak dotąd — dalej iść nie może. Wszystkie dziedziny naszego życia domagają się gorączkowo reform.

Tylko polityka, która śledząc ducha i potrzeby czasu nie stawia im przeszkód, a owszem — pomaga wzrastać bujnie, jędrnie, zdrowo, tylko taka polityka jest — bez względu na dotychczasowe nomenklatury partyjne — zdrową, postępową i ma przyszłość przed sobą.



Ks. Arcybiskup Teodorowicz.

Z nowymi dygnitarzami wstępuje na najwyższe szczyty społeczeństwa Młodość. Młodość z całą wiarą w siebie i — bezwzględnością, z całą chęcią do reform — i poprawiania. Ogniska stłumione zapłoną obecnie ogniem, koła życia wstrzymywane — zahuczą obecnie pracą przyspieszoną, w miejscach zastoju, rutyny, »szlendryanu austryackiego« — zapanuje ruch; hasło: naj bude, jak buwało — zastąpi hasło reform. Można tedy mówić jeśli nie o nowej dobie, to o ważnej dacie w stosunkach galicyjskich, od tego, co ona przyniesie: reformy wsteczne, czy postępowe, zależy w znacznej części nie przyszłość kraju — ta ma własną logikę, nie dającą się długo krępować przez nakazy z góry — lecz najbliższe fazy i koleje naszego rozwoju. Kryje one w swem łonie grom i pogodę, rozkwit i więdnienie, pomyślność i nieszczęście...

W interesie naszego, tak ciężko przez los doświadczanego kraju, życzymy, by nowi dygnitarze zaznaczyli nową swą datę reformami zdrowemi, pożądanemi przez ogół...

# Drogi wodne w Galicyi

(Przed nową sesyą parlamentu).

Rok jeszcze temu mieliśmy w kraju dowcip o wielkim admirale marynarki galicyjskiej i tytułem tym obdarzaliśmy wszystkich wielkich polityków, żeglujących po wodzie frazesu. Dzisiaj treść tego dowcipu przechodzi już w sferę prawdy. Można już mówić — nie o morzu galicyjskiem, zawsze jednak o drogach wodnych; nie o »flocie« galicyjskiej — tej tak rychło nie będziemy mieli — zawsze jednak o żegludze po kanałach galicyjskich.

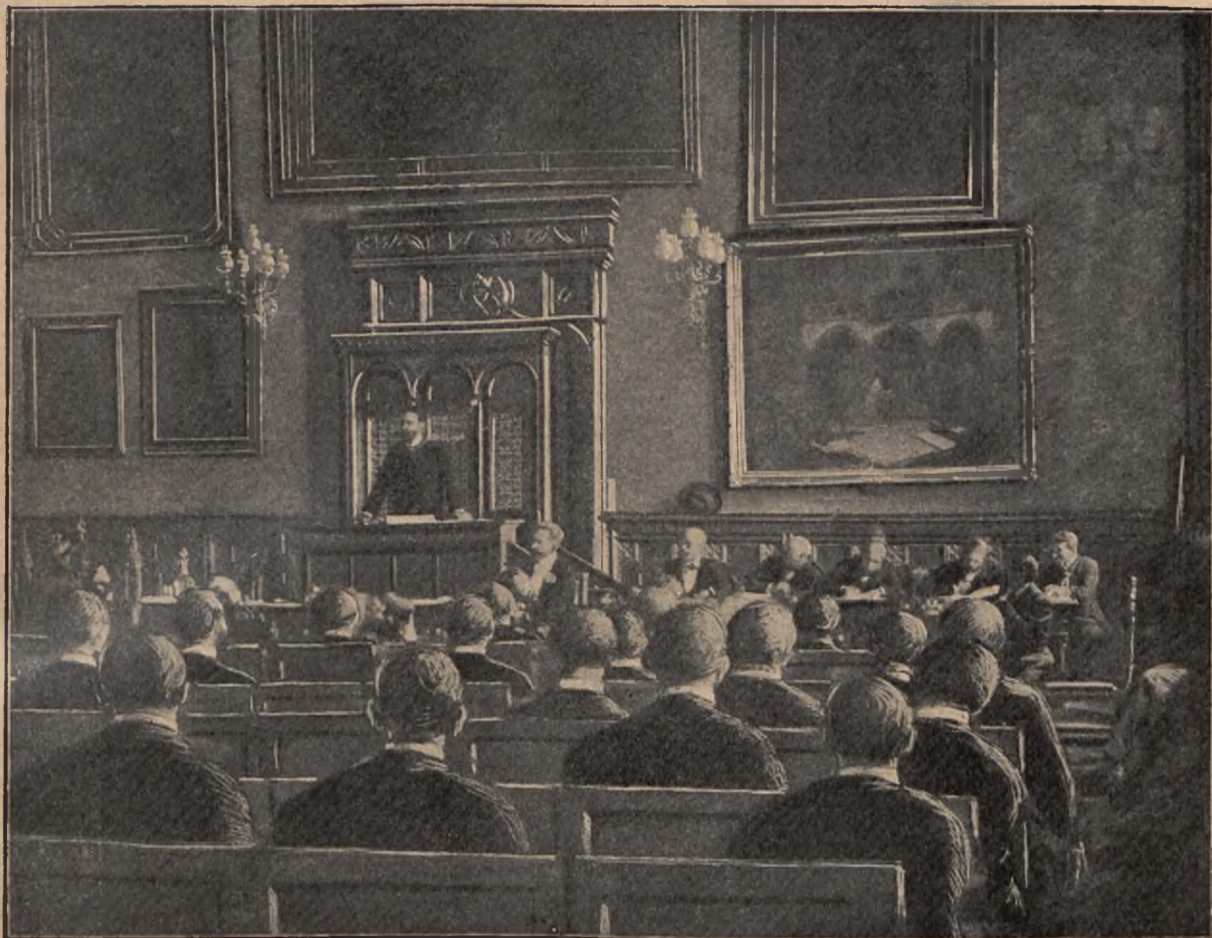
Niespodzianie, dzięki przypadkowej, w »państwie niepodobieństw« wyjątkowo pomyślnej sytuacyi parlamentarnej, doszła do skutku ustawa z 11 czerwca 1901 r. nr. 66 Dz. u. p., która postanawia budowę sieci dróg wodnych w Austryi, obejmującej w ogólności 2.650 klm., z czego około 555 klm. dróg spławowych przypaść ma na Galicyę.

Znaczenie tej sieci kanałów jest dla całego państwa ogromnie doniosłem, dla Galicyi — epokowem. O korzyściach jej wyraża się najkompetentniejszy w tej mierze memoryał obydwu krajowych towarzystw politechnicznych i gal. Izby inżynierskiej do Koła polskiego w Wiedniu następująco:

»Kraj nasz ekonomicznie zaniedbany, o niekorzystnem położeniu geograficznem, bo oddalony od morza i centrów konsumcyjnych, podźwignąć mogą znakomicie z upadku drogi wodne, które go zbliżą do europejskich rynków zbytu i otworzą wszechświatowe targi dla płodów surowych.

Tani przewóz produktów podniesie wartość ziemi ornej i lasów, zachęci rolników do intensywniejszego gospodarstwa i przyczyni się do rozwoju melioracyj rolnych.

Tania siła wodna, jaka będzie do dyspozycyi w wielu miejscach, przy śluzach komorowych, skłoni przedsiębiorców do założenia całego szeregu mniejszych zakładów przemysłowych — tani dowóz węgla ułatwi powstawanie fabryk we wscho-



**Z I. Zjazdu Przemysłowców Polskich.** Przemowa hr. Dr. Andrzeja Potockiego.
(Specyalne zdjęcie dla „Ilustracyi Polskiej").

dniej części kraju, a tani dowóz buraków usunie trudności, na jakie natrafiają świeżo powstające w kraju cukrownie przy pozyskiwaniu plantatorów buraków cukrowych w najdalszej okolicy.

Drogami wodnemi kraj nasz będzie eksportował głównie drzewo, zboże, ropę naftową, kamień, żwir rzeczny, glinkę ogniotrwałą i garncarską, wapno, gips i t. p., będzie zaś importował węgiel i nawozy sztuczne, a w miarę rozwoju przemysłu rudy kruszcowe i inne płody surowe.

Przy tanim przewozie drogami wodnemi, wartość naszych lasów, które zajmują 25·79% powierzchni całego kraju (tj. 3,516.683 morgów), podniesie się przynajmniej w dwójnasób. Taryfy kolejowe są obecnie tak wysokie, że produkta surowe nie wytrzymują dalekiego transportu, obniżenia zaś tych taryf nie można się spodziewać, gdyż dochody kolei państwowych z każdym rokiem się zmniejszają i nie wystarczają na oprocentowanie i amortyzacyę kapitału zakładowego.«

Kanały nareszcie uzyskaliśmy, a przy tej sposobności drugą jeszcze zdobycz, o którą kraj bezskutecznie kołatał od lat kilkudziesięciu, mianowicie regulacyę rzek, o ile ona pozostaje w związku z budową kanałów.

Ustawa »kanałowa« w teraźniejszem swem brzmieniu, nie zaspakaja jednak wszystkich słusznych żądań i potrzeb kraju. Musimy to sobie powiedzieć i mieć na oku dalsze konsekwencye, gdyż ostatecznie państwo budową kanałów nie wyświadcza nam łaski, a spełnia tylko wobec zniszczonego przez rządy absolutystyczne kraju obowiązek. Będziemy mieć znaczną linię drogi wodnej i uregulowane niektóre drogi; przez pewien szereg lat będzie w Galicyi inwestowana rocznie suma około 29 milionów na budowy wodne, na czem ludność pracująca, przedsiębiorcy, technicy, przemysł etc. niewątpliwie skorzystają — uprawnione życzenia Galicyi są jednak dalekie od swego kresu. Na tem stanowisku stał Sejm krajowy, uchwalając pod adresem rządu centralnego znane swoje dezyderata; na tem stanowisku stał odbyty niedawno w Krakowie I. Zjazd Przemysłowców polskich, którego uchwały są najlepszym wyrazem kompetentnej opinii publicznej. Między temi uchwałami najważniejsze brzmią:

Zjazd wzywa reprezentantów kraju w Radzie państwa, tudzież Sejm i Wydział krajowy:

1. ażeby poczynili kroki do uzyskania bezpośredniego, najkrótszego połączenia krajowych dróg wodnych z drogami Państwa niemieckiego, a to doliną Przemszy z kanałem Kłodnickim pod Gliwicami;

2. ażeby stanowczo sprzeciwili się połączeniu galicyjskich dróg wodnych z kanałem Dunaj-Odra pod Kunewaldem, a popierali połączenie pod Hruszowem;



Teofil Merunowicz · Dr. Wacław Szileny · Robert Primavesi
Dr. G. Schreiner · Inż. Jan Kaftan · Dr. Maks Menger · Dr. Arnold Rapaport

**Subkomitet parlamentarny dla dróg wodnych w Austryi.**

3. ażeby wyjednali zbliżenie trasy kanałów ze względu na istniejący handel i przemysł, o ile możności do większych miast kraju;

4. ażeby ze względu na istniejącą żeglugę uzyskano połączenie kanału z Wisłą przynajmniej w Nadbrzeziu i w Krakowie, gdzie powinien powstać port odpowiedni do spodziewanego międzynarodowego ruchu handlowego;

5. ażeby starali się jaknajergiczniej w drodze ustawodawczej o budowę odgałęzienia kanału przez Lwów do Brodów, a to nie tylko ze względu na dobro kraju, ale i ze względu na ogólne dobro i finanse Państwa, gdyż ta linia ożywi ruch przewozowy całej państwowej sieci kanałów i przyczyni się w głównej mierze do ich rentowności.

Gdyby pomimo starań nie udało się w drodze ustawodawczej zapewnić budowy tej linii, Zjazd Przemysłowy wzywa Reprezentantów kraju do Rady Państwa i Sejm krajowy, ażeby na razie wyjednali przynajmniej budowę odnogi kanału do Lwowa.

Dopiero spełnienie tych żądań posunie u nas kwestyę kanałową ku rozwiązaniu, które można będzie nazwać najważniejszą zdobyczą ekonomiczną Galicyi, od przymusowego jej ślubu z Austryą.

Informując naszych czytelników o tej epokowej sprawie, prezentujemy im równocześnie portrety parlamentarnego subkomitetu dla spraw wodnych, którego prace i wnioski były podkładem załatwienia kwestyi w Izbie. W skład pełnej komisyi dla sprawy dróg wodnych wchodzili zaś z posłów polskich pp. Ignacy Daszyński, eksc. Adam Jędrzejowicz, Dr. Henryk Kolischer, Teofil Merunowicz, Dr. Arnold Rapoport, Tadeusz Romanowicz, Paweł Stwiertnia, Dr. Henryk Wielowieyski.

Reprezentantom tym naszym w komisyi wodnej, którzy tyle tam dla kraju wywalczyli, szczera należy się wdzięczność.

---

## TECHNOLOGIA MECHANICZNA.

Technologia mechaniczna, czyli nauka, która zajmuje się badaniem zmian i kształtów rozmaitych materyałów, jest jako wiedza teoretyczna bardzo młodą, natomiast jako praktyczna nauka sięga najstarszych czasów.

Znalezione przedmioty i znaleziona broń z najdawniejszej przeszłości świadczą, że ludzkość po czasie, w którym nie było jeszcze narzędzi, postąpiła najpierw na ten stopień rozwoju, że swe pierwsze narzędzia sporządzała tylko z drzewa, kamienia, kości itp. i te narzędzia służyły tylko dla zwyczajnych potrzeb

# ALBUM NOWEGO SEJMU

**SERYA I.**



**Michał Michalski**
wice-prezydent miasta Lwowa
(demokrata).



**Dr. Godzimir Małachowski**
Lwów (demokrata).



**Tytus Bujnowski**
c. k. notaryusz
Pilzno (konserw.)



**Dyr. Jan Rotter**
Kraków (demokrata).



**Tadeusz Romanowicz**
Lwów (demokrata).



**Prof. Dr. Juliusz Leo**
Kraków (konserw).



**Prof. Dr. Leopold Jaworski**
Kraków (konserw.)



**Jan Kanty Fedorowicz**
Kraków (konserw).

Rozpoczynamy w niniejszym numerze druk albumu, obejmującego wszystkich posłów nowego Sejmu. Album to wyjdzie niebawem w formie ozdobnej książki, zawierającej prócz portretów dane biograficzne, których dla braku miejsca na razie umieścić nie mogliśmy w „Ilustracyi Polskiej“.

domowych. Ze wzrostem potrzeb zwiększyło się też dążenie ku nowym środkom postępu i w tym ustawicznym rozwoju wymagań rozwinął się w tysiącach lat człowiek historyczny. Instynktownie starał się człowiek każde narzędzie, każdy przedmiot i materyał w rozmaity sposób zużytkować; jestto prawo zmiany użycia, któremu dziecko, jakoteż dojrzały człowiek podlega. Fantazya wynalazcy usiłuje każdemu przedmiotowi, każdej nowej substancyi zdobyć jak najszersze koło zastósowania: np. we wielu to praktycznych kierunkach i postaciach ma zastósowanie nóż. W tym względzie sprawdza się często niemieckie przysłowie: »probiren geht über studiren.«

Przez zmianę użycia i zastósowanie pewnych kształtów do specyalnych potrzeb, powstały najrozmaitsze narzędzia. Odpowiednie zastósowanie oraz ich trwałość zależą od formacyi i wytrzymałości substancyi, z której narzędzie jest sporządzone. W epoce, tak zwanej kamiennej, był robotnik bardzo ograniczony w nadaniu kształtów swoim narzędziom, a to wskutek własności kamienia, dopiero przez wydobycie żelaza i wytworzenie stali osiągnął swobodę w kształtowaniu.

Stal, ten znakomity materyał, zmiękczona w ogniu, pod uderzeniem młota przybiera pożądane kształty, a następnie przez rozgrzanie i nagłe oziębienie osięga prawie twardość szkła. Jednak przez rozmaite postępowanie może otrzymać wszystkie najróżnorodniejsze pośrednie stopnie twardości, elastyczności i rozciągłości. Ten materyał uzbroił rękę ludzką w czasie pokoju i wojny, używamy go w postaci siekiery, młotu, pługa, miecza, nim przebijamy góry, z niego budujemy mosty na rzekach i przeróżne maszyny. Przez wieki zużytkowywał człowiek stal, lecz dopiero w ostatnich dziesiątkach lat począł on jej naturę naukowo badać: w ostatnich latach ze znacznym skutkiem użyto nawet mikroskopu.

Wprawdzie przy udziale wielkiej ilości sił ludzkich można wiele zdziałać, jak to np. wiekopomne piramidy egipskie o tem świadczą, jednak o wiele większe zdobycze osiągnął człowiek przez umiejętne zużycie sił natury.

Mechanicznej pracy i energii płynącej wody użyto najpierw do poruszania kół młyńskich, o czem już historyk z czasów Cicerona pisze: »Przestańcie się męczyć dziewczęta, które w młynie pracujecie, teraz spijcie i pozwólcie ptakom na powitanie zorzy porannej zaśpiewać, bo Ceres rozkazał Najadom waszą pracę wykonać; te posłuchały, rzuciły się na koła i pędzą potężne fale i obracają koła młyńskie.«

W ostatniem stuleciu zaciągnięto też inne siły natury, szczególnie parę, do służby ludzkości. Pojęcia jak: parowa maszyna, lokomotywa, okręt parowy, młot parowy, pług parowy, bager parowy itp. są nam tak znane, jakgdyby już od wieków istniały. Kto myśli o tym ustawicznym wzroście warstatów, o zupełnem przeistoczeniu środków roboczych, o tych niezliczonych małych i wielkich wynalazkach, potrzebnych do stworzenia tychże maszyn!

Niedawno podziwiano wynalazek Bessemera, który 6000 kg. stali w pół godzinie zdołał wytworzyć, na co poprzednio potrzebowano 24 godzin i dziesięć pieców — lub podziwiano Siemensa piec (Regenerativofen). w którym osiągamy nadzwyczaj wysoką temperaturę; dziś zapatrujemy się na te wynalazki jako całkiem naturalną zdobycz. Te wynalazki, jak też wiele innych, rozwinęły się nietylko pod względem olbrzymiej ilości wytwórczej, ale jeden wynalazek daje ideę do nowego wynalazku. Po pomyśle Bessemera nastąpiło udoskonalenie Thomasa, które umożebnia wytworzenie doskonałego lanego żelaza z fosforycznych rud żelaznych, a tych też najwięcej wydobywamy z ziemi, pierwej leżały one bez użytku; — również piec Siemensa był źródłem pomysłu Martina, zapomocą którego można ze starego żelaza dobre żelazo lane i stal laną otrzymać.

Równocześnie z masową produkcyą żelaza rozwinęło się tegoż przerabianie. Przed 40 laty wykonanie 10 metrów długiej szyny było rzadkością, obecnie przy pomocy tak zwanej »Reversirmaschine« wyrabiane są 20 do 50 metrów długie szyny, które tak doniosłe znaczenie mają przy kolejach żelaznych — podobnie wykonują dziś z grubych sztab żelaznych druty, które służą do pośrednictwa przy wymianie myśli, do przeprowadzania siły elektrycznej, światła elektrycznego i t. p.

Zadziwiający jest ten postęp techniczny, powstał on tylko przy współdziałaniu tysięcy myślących praktyków i uczonych techników, a to wzajemne działanie nie ma podobnego przykładu w rozwoju nowożytnego życia. Tą drogą postępowały nietylko wielkie wynalazki, ale też liczne małe pomysły.

Jak dzisiaj system pracy się zmienił, przedstawia nam następny przykład: np. przed laty rusznikarz potrzebował tygodnie pracować, aby wreszcie strzelbę zrobić, później rozdzielono tę pracę w ten sposób, że większa ilość robotników, z których każdy wykonywał pewną część składową, sporządzała tę broń palną, co naturalnie przyczyniło się wielce do udoskonalenia wyrobu, oraz ilość wyrabianych sztuk znacznie się zwiększyła. Obecnie działa po sobie 10 do 30 maszyn, aby pojedyncze części składowe strzelby wykonać i to z dokładnością $^{1}/_{100}$ milimetra, tak, że pojedynczy kawałek dowolnie może być w każdej strzelbie zastósowany, mimo, że tysiące ich wyrobiono. To jest najdoskonalszy podział pracy — postępowa produkcya mechaniczna. Ona pozwala wykonywać konstrukcye strzelb, maszyn do szycia, bicykli itp., których wykonanie ręczne byłoby nadzwyczaj drogie. Wszystkie te tysiące maszyn musiały być wynalezione i wybudowane — jaki zatem wielki zasób pracy jest w nich ukryty!

Nie potrzeba dowodzić, że ta mechanicznie wykształcona składowa praca tylko we wielkich fabrykach jest możliwa. Ale także w małych warsztatach z postępem czasu zastosowano lepsze przyrządy, specyalne maszyny i małe motory. We wielu miejscowościach (np. Norymbergii, Lucernie i innych) zużywają praktycznie siłę wodną, tak, że każdy mieszkaniec może mieć połączenie z transmisyą, która koło jego domu przechodzi. Wielkie zastosowanie mają dziś motory gazowe, a obecnie też elektromotory oddają wielkie usługi w małym przemyśle fabrycznym.

Metoda pracy i fabrykacyi zmieniła się z gruntu w ubiegłem stuleciu, po zbadaniu rozmaitych zjawisk przyrody postępowała także technologia mechaniczna. Na podstawie chemicznych badań i mikroskopii metali osiągniono zadziwiające, a często odstępujące od znanych prawideł, rezultaty. Przez chemiczne badania sprawdzono stare praktyczne doświadczenia, a zatem osiągnięto pewność w przebiegu prac. Inny kierunek badań technologicznych stara się znowu zastósować w konstrukcyi motorów teoretyczne metody budowy maszyn. W końcu całkiem specyalnem zadaniem mechanicznej technologii jest badanie przebiegu pracy i zmiany kształtów w materyałach. Teoretyczne rezultaty są możliwe na podstawie eksperymentów, ponieważ tylko takie badania zgadzają się z wymaganiami w praktyce.

Zwięzłość cząstek w materyałach jest rozmaita i zależna od różnych powodów, a granica zwykle znajduje się między 4 a 10.000 atmosferami, dlatego też konstruktor maszyn do ściskania musi znać przynajmniej w przybliżeniu potrzebną siłę, aby odpowiednią maszynę mógł zaprojektować. Tutaj należą też usiłowania w kierunku badań zasadniczych — twardości, ciągłości, podatności, studya o przesuwaniu się płaszczyzn przy zmianie kształtów. To ostatnie zjawisko spotykamy w małych rozmiarach przy prasach mechanicznych, a w wielkich rozmiarach przy tworzeniu się gór, tak, że tesame próbne badania mogą być równocześnie zastósowane w technologii i geologii.

Dla inżynierów-mechaników otwarte jest ogromne pole badań.

Wiedeń, 5 września 1901. *Inż. Wacław Krzepowski.*



**K. Zelechowski · „Strach".**

**WŁADYSŁAW ST. REYMONT.**

# Z PAMIĘTNIKA PANNY HALI – JEJ „PA" I „MA"

(Ciąg dalszy). (2)

— Psiakość baranie nóżki, łapóweczkę wsunie się komu należy — trach... i wszystkie drzwi otwarte, jak wrota... Cóż to, pierwszy raz będę miał z urzędami do czynienia, czy co? Żeby się na tem zjadło i grzeczną eksperyencyę się ma, a przytem wszędzie na całym świecie szanuje się porządnych ludzi, a zwłaszcza jeśli są posiadaczami z czystą hipoteką, bez grosza długów. —

»Pa« ma racyę... »Pa« ma sto dwadzieścia razy racyę — wołałam, bo p. Henryk uśmiechał się tak dziwnie.

Niecierpię go za te miny i zaraz po ślubie stanowczo mu tego zabronię, stanowczo — a jeśli nie zechce posłuchać — to pójdziemy do rozwodu, będę nieszczęśliwą i umrę.

On zawsze musi się sprzeczać z »Ma« i »Pa«. I o co? o głupiego stróża, że mieszka w mokrej piwnicy! Mój Boże, a iluż to biedaków byłoby szczęśliwych, żeby mogli mieć chociaż takie mieszkania!

»Pa« kiedyś powiedział o nim: Filantrop, altruista z cudzej kieszeni.

Ale ja jestem pewna, że jego nic nie obchodzą ci stróże, a tylko umyślnie tak mówi, żebym się pogniewała i żeby mnie mógł przepraszać... a ja strasznie lubię, jak mnie tak gorąco — tak mocno... przeprasza...

Tylko żeby już raz skończył tę medycynę i wziął się do praktyki... no i żeby się już nie kryć ze wszystkiem... bo ja zaraz mam takie głupie rumieńce... że... »Ma« poznaje i krzyczy...

— Hala! ja ci dam całować się ze studentami!

No to czemu u nas nie bywa jakiś hrabia albo literat... przecież jabym wolała... nie, nie! napisałam niegodziwość, ale przy przepisywaniu na czysto wykreślę z pewnością, bo ja kocham p. Henryka, ogromnie, strasznie, nadzwyczajnie go kocham...

Mój dzióbek słodki, mój piesek kochany, *ma petit cochon* droga...

Ktoś dzwoni!

On ogromnie lubi, jak mu tak mówię, tylko chce, żeby go po każdem słowie c...... ja to strasznie lubię, ale się boję, bo »Ma« mówi, że całowanie przed ślubem, to miłość na kredyt i rzecz bardzo grzeszna... »Ma« to wie bardzo dobrze, bo jak się ciocia wygadała, »Ma« miała dwóch narzeczonych... i nie umarli — tylko się nie ożenili z »Ma«.

Obrzydliwi ci mężczyźni!

Ktoś bardzo mocno dzwoni!

Dlaczego Rozalia nie otwiera? Aha, wiem, musi być w bramie z tym lokajem z pierwszego piętra... Widziałam parę dni temu, jak się całowali — strasznie się całowali... —

Te służące, to istoty bez czci, bez wiary i bez wstydu — żeby się całować po bramach... i do tego z lokajami!... ta to wprost obrzydliwe...

To była Cesia, moja najserdeczniejsza przyjaciółka i najdawniejsza, bo jeszcze na pensyi przysięgałyśmy sobie przyjaźń — i podpisałyśmy to krwią z serdecznego palca. —

Naprawdę, jak kocham »Pa« i »Ma«, prawdziwą krwią.

Nagadałyśmy się, nagadały. —

Och, ona jest bardzo nieszczęśliwa w miłości, bardzo! kocha się w Przybyszewskim! Ja to rozumiem, bo sama kochałam się bardzo nieszczęśliwie... cały miesiąc, w jakimś cudnym chłopcu — fotografia jego była wystawioną na Krakowskiem Przedmieściu! To codziennie umyślnie przechodziłam, żeby się na niego popatrzeć! A tak się bałam żeby kto tego nie zauważył!

P. Henryk mówi, że Ceśka jest ładna i bardzo inteligentna. Tak, twarz ma niczego, ujdzie, ale nieprawda, że inteligentna — jeszcze na pensyi, to z francuskiego miewała same dwójki — a czasem i »konia«. — Co prawda, to i twarz ma za chudą, bez cery, nos za chudy, a oczy, jak pudełka szuwaksu — a w biodrach to szersza niż miłosierdzie — jak mówiła Madame.

Tym mężczyznom to nawet pokojówki mogą się podobać!

Gdzie jej do mnie! A przytem biedactwo — już drugi rok chodzi w tym samym żakiecie.

Ogromnie mnie namawiała, żebym koniecznie, jak będę w Krakowie, poznała Przybyszewskiego... Kuzynek Jaś, przywiózł mi jego książki!

Śliczne ale takie jakieś, takie... oho, znowu te głupie rumieńcę.

Skaranie boskie z tymi rumieńcami, już i cytryny jem i pudruję się, nic nie pomaga, zawsze mnie zdradzają.

Dała mi paczkę do niego i przyznała się, że sama także pisuje!

Ceśka pisuje do druku! Ha! Ha! to paradne; miała dwójki z języków i pisuje do druku!

Przecież nawet »Pa« jak daje ogłoszenia do »Kuryerka« o lokalach do wynajęcia, to musi mu pomagać pan Henryk!

A ona pisuje sama i do druku!

Muszę o tem powiedzieć Naci, uśmiejemy się wybornie.

Ale Przybyszewskiego, muszę poznać koniecznie — bo, bo ja strasznie lubię dekadentów. Pan Henryk śmieje się ze mnie — ale cóż bo pan Henryk?... zaledwie student! i każe mi tylko czytywać naszych wielkich poetów — kiedy... kiedy ten pan Mickiewicz taki nudny, że już wolę się gonić po jadalnym ze Stokrotkami. Czytałam przecież p. Tadeusza, ta Zosia to głupia gęś, źle wychowana i nieprzyzwoita panna — żeby w papilotach i boso przełazić przez płoty! Może to dobre tam, na prowincyi — ale nie u nas, w Warszawie. Gęsiarka!

A i wiersze pana Słowackiego! Czytałam kiedyś głośno po kolacyi, to »Pa« powiedział:

— Klitus Bajdus módl się za nami, a komorne już sam odbiorę. I poszedł z p. Henrykiem na piwo.

Kuzynek Jaś przywiózł mi Altenberga, przeczytałam całego.

Boże jakie to śliczne! A szczególniej ten ustęp, któryśmy z Nacią wyhaftowały na kanwie:

»Paliła Princessy i patrzyła na ratuszową wieżę — a on palił »Sułtany« i na ratuszową wieżę patrzył — a oczy się ich spotkały na wieży ratuszowej« — To nowy dreszcz, jak powiedział kuzynek Jaś.

Dlaczego p. Henryk nie napisze jakiej książki?... przecież skończył gimnazyum, jest na piątym kursie i taki uczony... chciałabym, żeby mój mąż był sławnym... bywalibyśmy wtedy wszędzie a może i u arystokracyi! Powiedziałam o tem przy kolacyi. »Pa« wyśmiał się ze mnie i powiedział, że porządny doktór zarabia więcej, niż dziesięciu głupich literatów, którzy przeważnie chodzą bez butów i nie płacą komornego.

Pewnie, iż »Pa« ma racyę, ale ja strasznie lubię dekadentów.

Idę już spać, bo »Ma« się gniewa, że tak dużo nafty wypalam.

Dobranoc Włochy, do widzenia.

»...A oczy się ich spotkały na wieży ratuszowej...«

— — — — — — — — — — —

*24 marca, Sobota.*

Jedziemy we wtorek. Boże, czy ja się doczekam! Tak się boję, żebym nie umarła, albo nie zachorowała przed wyjazdem! p. Henryk przysłał kwiaty i lożę na operę. Śpiewa Battistini! Strasznie jestem ciekawa go zobaczyć, bo wszystkie panny się w nim kochają...

— — — — — — — — — — —

*Wieczorem, po teatrze.*

Jakie tualety! jakie brylanty, jakie kwiaty! Jestem jeszcze nieprzytomna z wrażenia! Boże, jakżebym chciała mieć suknię balową głęboko dekoltowaną i sznury brylantów we włosach!

Przecież ja mam już osiemnaście lat, jestem dorosła, a »Ma« obiecuje mi dopiero na przyszły karnawał sprawić suknię dekolte — a ja mam przecież śliczny biust. Zdjęłam szlafroczek i przejrzałam się tedy, naprawdę, ale ja mam ładne ramiona... a jeszcze jakbym do balowej sukni wzięła wysoki gorset, to... to... nie wyglądałabym w piersiach tak szczupło.

Jaki on śliczny a jak śpiewa! aż mrówki czułam w plecach i tak mi się zrobiło gorąco i niedobrze, że myślałam, iż zemdleję... aż mi »Ma« rozpuściła trochę gorset. Nie, on nie jest za ciasny, tylko Rozalia ramse ściągnęła. Teatr był pełny, panowie we frakach i taki entuzyazm, że aż panie płakały, a jedna, w loży naprzeciwko dostała spazmów, i wszystkie tak krzyczały, tak rzucały kwiaty, tak bisowały, że... aż, nie wiem czy to wypada... tak przy wszystkich...

P. Henryk powiedział, że to damy finansów i arystokracyi!

W wielkim świecie widać to wypada, ale ja bym się trochę wstydziła...

(C. d. n.)

# Z Czarnohory.

I.

Zdumiony spoglądałem na stosy zapasów, jakie mieliśmy zabrać ze sobą. W malowniczym nieładzie porozkładane na ziemi leżały barwne pudełka konserw, czekolada, ziemniaki — a potem great attraction — smolne pochodnie.

Fantazya rozpierała duszę tworząc już naprzód legendy bohaterskich naszych czynów. Widziałem siebie w kolistym sobrero na głowie, ze sztyletem za pasem... Jedziemy przecież w dziewicze lasy... w puszcze... w świecące martwym blaskiem bezdnie kamienne.

Na razie, wsiadamy jednak do najzwyklejszego w świecie wagonu, który zawozi nas do Worochty. Stacya kolejowa — jakich wiele — a zamiast opryszków, spacerują przed dworcem wykwintni panowie ubrani w jasne flanele i panie, noszące w fałdach swoich sukien świeżość poranku i gór. Tak przynajmniej twierdzi mój towarzysz młody.

Osada śliczna wciśnięta pod stopy gór, tylko »wille« budowane w stylu... brodzko-lwowskim psują linie.

W głębi płynie Prut ginący w bujnej zieleni drzew, nad którym wznosi się most posiadający podobno największe rozpięcie łukowe ze wszystkich mostów w Europie. Zostajemy zaproszeni na obiad i spożywamy go w towarzystwie pięknych dam. Tak przynajmniej twierdzi mój towarzysz młody.

Nadchodzi wkrótce noc.

Bajeczna górska noc. Prawie czarny lazur zasiany złocistemi gwiazdami rozwiesza się nad ścianami lasów.

Jest pełnia.

Z rozpadlin jarów wysnuwają się prześwietlone pasma mlecznej mgły i rozwijają się w wstęgi.

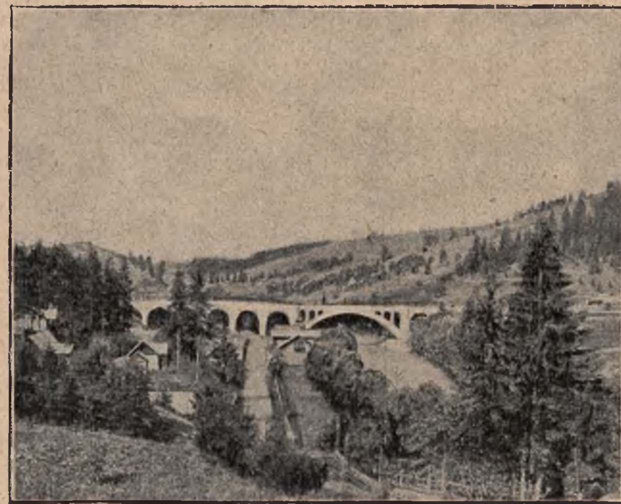
Rzekłbyś, że to mistyczne drogi duchów idących ku wieczności.

Czasem ciszę przerywa ostry, przenikliwy okrzyk huculów nawołujących się wzajem. A potem znów cisza. Jasne okna gasną zwolna.

Rano o świcie budzą nas przewodnicy. Świat cały jest szary, mroźny, pełen subtelnych półtonów, łamiących się w różowanych blaskach wschodzącego słońca. Konie stoją rzędem przy zagrodzie. Małe, nikłe koniki z grzywą zapuszczoną dobrodusznie na oczy. Na nich sterczą kulbaki rozepchane kocami, jak gdyby z obrazów Brandta wycięte, o przedpotopowych strzemionach składających się z drewnianego kółka, zawieszonego na sznurku.

Wśród wesołych okrzyków gromady ruszamy. Siwek wysuwa się pierwszy naprzód. Rumaki są trochę niesforne. Nie nasza, ale ich się dzieje wola. Postępują więc truchcikiem wstrząsającym mile wnętrzności caballera, w oznaczonym przez siebie porządku, gęsiego, tuląc chrapy do ogona następcy..

Mijamy olbrzymie tartaki produkujące rok rocznie dziesiątki tysięcy belek i sągów, zabudowane w czworobok, w którym panuje niepodzielnie żelazna prawica... niemca i żyda. Ot i los tych smereków, sosien i świerków, które zwichrzoną masą ciągną się wzdłuż drogi.



**Worochta.**
(Specyalne zdjęcie dla „Ilustracyi Polskiej").



**Dr. I. Szyszyłowicz,** radca Wydz. kraj.
założyciel (najwyższej w Europie) stacyi doświadczalnej dla poprawy połonin.

Wyrastają tu w niebo osłaniając się królewską szatą zieleni... paprocie i liliowe dzwonki ścielą się u ich stóp... słońce je złoci... wiatr pieści... a później leżą nagie, obślizgłe i z majestatu odarte... prusakom na łup i rozkosz.

W Ardzietuży kończy się gościniec a zaczyna leśna ścieżka i »klawisze«. Och! czy wiesz ty bracie młody, spacerujący z grandezzą markiza po równym asfalcie, co to są klawisze? Poprostu belki osadzone luźno na przecznicach, zapadające się pod ciężarem konia w błoto, lub rozsuwające się dowolnie w jamy, które (z zamkniętemi oczami) przeskakiwać należy.

A w dole ryczy Prut rozbijający się grzbietami śnieżnych fal o głazy... i krwawooki Strach ściąga ci duszę w pięty. Czasem zjeżdżamy na łeb w koryto rzeki i konie skaczą jak sarny po omszałych złomach kamiennych lub brniemy po



**Domek stacyi doświadczalnej na połoninie Porzyżewskiej** (1750 m. nad poziomem morza).



**Hucułka z Czarnohory.**

brzuchy w moczarach, obryzgując się obficie czarnem i lepkiem błotem.

Teraz dopiero poznaje się zalety huculskiej szkapy. Lubi ugryść i kopnąć gdzie się uda, nie zna się na kłusie i ma swoje zapatrywania, które nie zawsze idą w parze z zapatrywaniami jeźdźca, ale nie masz odważniejszego i zręczniejszego odeń konia.

Koło południa dobiliśmy nareszcie do jakiejś jasnej i ukwieconej polany, gdzie baca nakazuje postój. Spadamy z kulbak na pół żywi i tarzamy się w mchach i w kwiatach. Prut szumi i smereki szumią. Nad liliowo-szmaragdową linią lasów wznoszą się szczyty gór... całe w słońcu skąpane... urocze.



**Domek na połoninie Porzyżewskiej**

(1750 m. nad poziomem morza).

(Specyalne zdjęcie dla „Ilustracyi Polskiej“.)

W duszy roztapia się coś i niknie. Skandynawsko-kawiarniano-figarowa kultura wsiąka w matkę ziemię... Zgiń... przepadnij!

Otwierają się w głębiach ducha jakieś przestronne, kryształowe okna i ukazują nam nowy świat. Ten świat jest strojny w woń i blask... radość i szczęście. A że serce człowieka do kochania jest skłonne, więc zwraca się ku niemu jak kwiat ku światłu i mówi: kocham.

Z rozłożystych gałęzi drzew spadają zapóźnione krople rosy i połyskują przez chwilę barwą opalu na miękich łożach mchu.

...A za niemi idzie spokój — bezmiar spokoju. Nie masz tu romantyków, dekadentów, snobów, warchołów, stańczyków, absyntowców... są tylko ludzie, w których się budzi nowa pieśń życia i spływa w harmonię z wiośnianą pieśnią natury.

Opuszczałem z żalem tę polanę. Nazwałem ją »przejaśnioną« i taką już w mych wspomnieniach zostanie.

Po popasie zaczynamy znów piąć się w górę. Droga jest tak stromą, że kładziemy się na kulbakach, aby tylko ulżyć ciężaru koniom. Jakieś dziwnie poskręcane, nagie pnie wyrosłej kosodrzewiny wyciągają z uroczysk zeschłe ramiona, obwieszone pajęczą przędzą porostów i witają w leśnej głuszy przechodniów. Zwalone olbrzymy leżą skłębione i w ziemię wryte, świecąc próchnem wykrotów, a na tym barłogu kłód, pamiętających wieki ściele się puszysty kobierzec mchów i młodych pęków i alpejska kalina raduje się czerwienią jagód.

*Vita nuova*... Nowe życie na gruzach.

Uważam, że drzewa karleją i nikną. Wjeżdżamy w królestwo kosodrzewiny i rododendronów. Ich purpurowe kwiaty plamią darń, tuląc się do kulistych jałowców.

Na prawo zasłania słońce Howerla... w dali widnieją księżycowe góry. I odrazu nasuwa się tutaj różnica, jaka zachodzi między Tatrami a Czar-

nohorą. Charakter inny i dusza odmienna. Tatry są przedewszystkiem groźne. Turnie niebotyczne, lecz lęk budzące. Wobec nich maleją ludzie w atomy i wznoszą płochliwy wzrok w niebo, upatrując szczytów. Szara, jednostajna barwa granitu przygniata smutkiem — dzikie iglice i zręby szarpią nerwami i niepokój rodzą Tatry można kochać jak haszysz, dający niepamięć bolu duszy — można rozpłynąć się wśród nich w bezkresie zapomnienia — ale nie ma w nich spokoju i ukojenia. Czarnohora zaś zrobiła na mnie wrażenie poczciwej zagrody szlacheckiej.

Prawdziwie znużeni i ciszy spragnieni znajdą tu lekarstwo. Faliste połoniny utkane z wonnych traw, krągłe góry, powleczone odblaskiem szmaragdu — zachody słońca pławiące świat w falach purpury i złota otaczają nas świetlaną, miłościwą aureolą, w której chodzimy na poły świadomi szczęścia, skupieni i dobrzy.

Gdy noc zapada, spogląda się w niebo tak jarzące, błyskotliwe i gwiezdne, jak gdyby miryady ognisk płonęło na lazurowych polach. Pojęcie przestrzeni znika, i zda ci się, że te mroczne kontury gór osrebrzone światłem księżyca, otaczają cię z bliska bezpieczną strażą warowni, w której jeden tylko Bóg rządzi.



**Dr. Szyszyłowicz z asystentami pod domkiem meteorologicznym.**

II.

Celem naszej wycieczki był dom krajowej stacyi doświadczalnej, zbudowanej przed dwoma laty na Polonini Porzyżewskiej w pasmie Czarnej Hory, na wysokości 1750 m. nad poziomem morza. W domku tym mieszka przez lato asystent stacyi i zajmuje się doświadczalnym ogrodem górskim, w którym bada się klimatyczną wytrzymałość krajowych i obcych roślin łąkowych. Wzmagająca się także coraz bardziej hodowla bydła na naszem podgórzu i potrzeba odpowiedniego wyzyskania górskich łąk i pastwisk, skłoniła zasłużonego kierownika stacyi i założyciela ogrodu dra Ignacego Szyszyłowicza, znanego na polu naukowem ze swych prac botanicznych, do gorliwego zajęcia się kwestyą poprawy połonin czarnohorskich. Olbrzymie tysiącomorgowe hale, posiadające te same warunki co i alpejskie, leżą do dziś dnia odłogiem lub marnują się przez brak inteligencyi i wykształcenia u Hucułów. Niezmierne źródła dochodów, które mogłyby zamienić Czarnohorę w kwitnący ogród, dają obecnie utrzymanie zaledwie kilku rodzinom, zajmującym się hodowlą bydła rogatego i owiec, a urodzajne łąki leśne niszczeją z roku na rok przez rabunkową gospodarkę juhasów i żydów. Taki stan rzeczy wywołał potrzebę zajęcia się bliżej tą kwestyą, więc celem działalności dra S. jest podniesienie produkcyi paszy tutejszej i jakościowe i ilościowe poprawienie roślinności, oraz wskazanie środków, jakich użyć należy, aby złemu zapobiedz. Wobec pewnej obojętności i braku należytego poparcia ze strony sfer rządzących, a przedewszystkiem wobec zbyt szczupłych funduszów, przeznaczonych dla stacyi, rozbijają się najlepsze zamiary o nieprzezwyciężone trudności, i praca w tym kierunku iść może tylko bardzo powoli naprzód. Uczyniono jednak wszystko w zakresie możności. Zbudowano dom, założono pole doświadczalne, zebrano obfite materyały do historyi roślinności podgórskiej, zbadano warunki klimatyczne i meteorologiczne i zapoznano się z gospodarką pastwiskową Hucułów.

Stada owiec i bydła zebrane z całego podgórza, liczące po kilkaset sztuk, rozchodzą się po halach pod wodzą kilku pastuchów, którzy przeganiają je po cztery lub pięć mil dziennie, z góry na górę, bez żadnego systemu i rozkładu pól.

Pasza ginie więc nader szybko stratowana racicami, a bydło wygłodzone wraca do domu. W zagrodzeniu odbywa się podój. Mleko gotują w kotłach, a brudni juhasi wyrabiają z niego »bundz«. Produkcya serów i bundzu odbywa się w sposób zupełnie przedpotopowy, Gotowy już towar skupują żydzi, pakują w baryłki i wywożą na końcu do Węgier, gdzie się dopiero przerabia w bryndzę. Przy tej sposobności oszukują naturalnie i właścicieli bydła i pastuchów, którzy pobierają pewien procent od sprzedanych baryłek.

Wracając do Worochty, wstąpiliśmy do takiego szałasu, w którym warzyła się żentyca. Dym wydobywał się przez drzwi, a w smolnem i cuchnącem wnętrzu uwijali się juhasi, ubrani w czarne łojone koszule i obszerne hajdawary, podsycając ogień i mieszając kijem gęstniejącą już masę mleka.

Rozglądałem się ciekawie wokoło, chcąc dopatrzeć się śladów bodaj najmniejszej kultury. Zobaczyłem tylko kilka worków z mąką na mamałygę, tapczan, drewnianą i dosyć misternie ukręconą z drzewa flaszkę na wódkę. W kącie wisiała sznurkiem połatana strzelba, służąca do odstraszania niedźwiedzi i złodziei. Jej zardzewiałe, rozchwiane lufy przypomniały mi lepszą przeszłość tych pastuchów, których przodkowie odbywali niegdyś waleczne wyprawy do Wołoszy i Węgier, przywożąc z rozboju bogate trzosy, zbroje i wino. Dzisiaj ujęto już w karby ów rosły, piękny, na



**Nowości z menażeryi cesarskiej w Schönbrunnie: Antylopa Sömeringa i jej dozorca.**



**Nowości z menażeryi cesarskiej w Schönbrunnie. Jeżatka kolczata.**

pół dziki lud i odebrano im królestwo gór i lasów — została więc tylko pamięć minionych dziejów, przechowana w legendach Prokopów i Doboszów, śpiewanych przy wiatrach w długą, zimową noc.

Stroje Huculów są znane ze swej malowniczości. Krasne, dwubarwne hafty pokrywają koszule mołodyć, a dwa czerwone fartuchy, założone zamiast spódnicy z przodu i z tyłu, uwydatniają pierwotną piękność ich kształtów. Oczy tutejszych mężczyzn i kobiet są jednak chytre i niejasne. Odbija się w nich ciemna i mała dusza, rządzona przez instynkt, którą oświecić i uszlachetnić należy. I na tem polu rozwija Stacya bardzo dodatnią działalność. Przygotowuje grunt pod oświatę, starając się o poprawienie lokalnych warunków gospodarstwa i zwiększenie dobrobytu.

Z polecenia kierownika rozdaje asystent stacyi ziemniaki dojrzewające przed nastaniem mrozów i nasiona zbóż i jarzyn, wytrzymujące tamtejszy klimat. Z czasem świecąc dobrym przykładem, stanie się stacya Porzyżewska pierwszą placówką cywilizacyjną w górach Czarnohorskich, a kraj zdobędzie szmat bujnej ziemi, przeistoczonej w alpejskie, żyzne hale. Wówczas spełnią się obywatelskie zamiary inicyatora i wykonawcy tej myśli i zapłacą za trudy i pracę.

Lwów. *Alfred Wysocki.*

---

## NOWOŚCI Z SCHÖNBRUNNU.

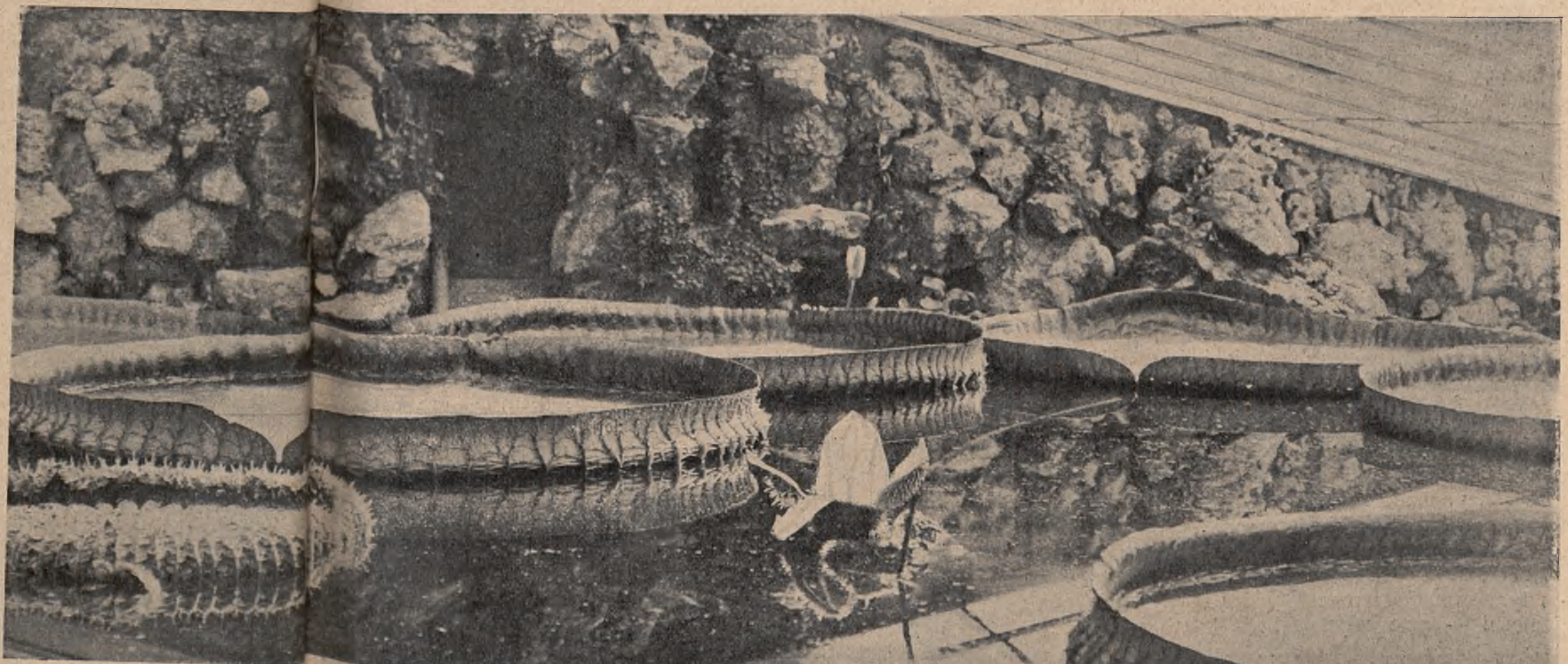
(Zdjęcia amatorskie dla »Il. Polskiej«).

Slatin Pasza, znany podróżnik, którego uwolnienie z rąk Mahdiego przed kilku laty głośnem echem odbiło się w Europie, przysłał menażeryi cesarskiej w Schönbrunn pod Wiedniem znaczny i drogocenny transport zwierząt z Sudanu: żyrafy, lwy młode, hyeny etc. Wśród tych okazów wyróżnia się rzadkością antylopa Sömeringa, którą widzimy na naszej rycinie obok Jeżatki kolczatej.

Osobliwość wielką można też obecnie widzieć i w cieplarniach Schönbrunnu: rozkwitającą *Victorię Regię*. W kwietniu b. r. rzucono nasiona do basenu, dzisiaj olbrzymie liście, o średnicy dochodzącej 1·80 m., wypełniają całą powierzchnię basenu. Liść *Victorii* może utrzymać ciężar prawie 45 kg.! Od czasu do czasu rozwija się kwiat — i tłumy wówczas spieszą do Schönbrunnu, aby oglądać szczególną tę roślinę. Wpół rozwity kwiat *Victorii* widzimy na przednim planie naszej fotografii.

---





**Nowości z cieplarni cesarskiej w Schönbrunnie: Victoria Regia. Na przednim planie na wpół rozkwitły kwiat.**

## Najnowsze wynalazki w dziedzinie techniki wybuchowej.

I.

Mimo całego szeregu udoskonaleń, jakie w ostatnich dziesiątkach lat wszystkie państwa, posiadające armie i floty, zaprowadziły w swym materyale wojennym, każdy niemal dzień przynosi nowe wynalazki bądź to w formie niszczącej, jak materyały wybuchowe, machiny do ich wyrzucania lub szybkostrzelną broń, bądź też w formie odpornej, jak pancerze, bomby dymiące, zasłaniające cel itp.

Każdy z tego rodzaju wynalazków, szczególniej jeżeli jest dobrze reklamowany, bywa przez rządy natychmiast jak najdokładniej badany i nabywany. Odbija się to zaraz na skórze obywateli, płacących podatki... Gorączkowe nabywanie tego rodzaju wynalazków wynika nie z rzeczywistej potrzeby, lecz tylko z przesadnej obawy przed sąsiadem.

Z najnowszych wynalazków z tej, obecnie bodaj czy materyalnie nie najkorzystniejszej dla wynalazców części wiedzy technicznej, trzy poświęcone są Marsowi. Przedstawimy je czytelnikowi w krótkim opisie, nie wdając się w wyczerpującą ocenę wartości technicznej.

Przyjemny szereg wynalazców, obdarzonych fantazyą, od której nam skóra cierpnie, rozpoczyna pan Hudson Maxim z Nowego Jorku. Wymyślił on statek podwodny, torpedę i specyalny materyał wybuchowy. Całość ma służyć do wysadzania pancerników w powietrze; statek niespostrzegalnie podpływa pod pancernik, wypuszcza torpedę, a olbrzymia siła nowego materyału wybuchowego druzgocze wszelką zaporę. Pan Maxim w opisie swego wynalazku podaje tak olbrzymie cyfry o chyżości swego podwodnego statku i torpedy, jak i o sile samego materyału wybuchowego, że nawet pokrewni mu zawodem i znawcy tej gałęzi z niedowierzaniem kiwają głowami. Ale ponieważ pan Maxim dał już dowody swych zdolności wynalazczych na tem polu, że przytem jest olbrzymio bogaty, co mu pozwala przedsiębrać próby i doskonalić swój wynalazek *usque ad finem*, przeto jest uzasadnionem przypuszczenie, że to, co pan Maxim o swym wynalazku twierdzi, nie jest bez podstawy.

Drugim w tym szeregu pomysłowych niszczycieli jest I. Zaliński, polak osiadły w Ameryce, oficer artyleryi Stanów Zjednoczonych, który zbudował nowe działo, wyrzucające pociski dynamitowe, wagi 200 kilogramów. Przyjemny taki pocisk służy do niszczenia pancerników i nadbrzeżnych bateryj. Nie pierwszy to zresztą wynalazek p. Zalińskiego. Już w roku 1889 przedłożył on swemu rządowi pierwszą wówczas przez się wynalezioną armatę dynamitową, którą też rząd Stanów Zjednoczonych zakupił. W ciągu dwóch lat kosztem 30 milionów koron marynarka amerykańska sprawiła sobie te działa — a wojskowe sztaby jeneralne, tak hiszpański jak i Stanów Zjednoczonych zgodnie dzisiaj orzekają, że główną przyczyną bezprzykładnego pogromu floty hiszpańskiej w wojnie o Kubę, były wówczas świeżo zaprowadzone armaty dynamitowe kapitana Zalińskiego.

Rozumie się samo przez się, że po takim wyniku, wszystkie państwa — ba, nawet państewka posiadające choćby tylko jeden statek i kilka kilometrów wybrzeży, zaopatrzyły się w miarę możności w armaty Zalińskiego. Dziś, na podstawie wyczerpujących prób, doświadczeń i ulepszeń, dokonanych w ciągu lat 11-tu z pierwotną armatą,

przedłożył ponownie pan Zaliński nowy zupełnie odmienny model pneumatycznej armaty dynamitowej, która zupełnie bezpiecznie siłą prężności mięszaniny z powietrza i jakiegokolwiek węglowodoru, wyrzuca pocisk dynamitowy wagi 200 kg. na odległość 5000 metrów. Celność pocisku ma być zdumiewająco dokładna.

Ponieważ pan Zaliński aż nadto dobitnie dowiódł w praktyce, że to co wygłaszał w teoryi odpowiada rzeczywistemu stanowi rzeczy, przeto wierzymy i tym razem w skuteczne działanie nowych armat.

Wreszcie wystąpił najoryginalniejszy w szeregu wojennych dynamitadów królewsko szwedzki major Unge. Opatentował on właśnie swój sympatyczny wynalazek, który przezwał »latające torpedo«.

Latawiec ten służyć ma poprostu do niszczenia całych miast, fortec, do zabijania ludzi en masse... Wynalazek polega na tem, że torpedo, w którego wnętrzu znajduje się 200 kilogr. bardzo silnej materyi wybuchowej, wypuszczone z lufy przy początkowo bardzo małej chyżości, nabiera w powietrzu nowej, żywej siły lotnej, a to za pomocą przyrządu znajdującego się w tylnej części torpeda, — i tym sposobem przebiega do 10.000 metrów odległości — aż wreszcie, bądź to w powietrzu bądź też na ziemi, wybucha... Major Unge oznajmia światu, że jeden celny wybuch jego torpeda nawet w wysokości 100 metrów nad pancernikiem lub fortyfikacyą, niszczy je bezwarunkowo doszczętnie, zabijając równocześnie w promieniu 100 metrowym wszystkie żyjące istoty.

Aby wyobrazić sobie należycie skutki wybuchu takiej latającej torpedy nad jakiemkolwiek miastem, trzebaby fantazyi Wellsa...

Major Unge po raz pierwszy występuje publicznie z rzeczą bądź co bądź zupełnie nową i teoretycznie dobrze obliczoną, a jakkolwiek ogół fachowców już orzekł, że rzecz ta nie nadaje się do traktowania na seryo, niemniej rząd i król szwedzki subwencyonowali wynalazek kwotą 1$^1/_2$ miliona koron celem przeprowadzenia prób. My nie podzielamy głosu znawców zagranicznych i nie przechodzimy nad wynalazkiem Ungiego do porządku dziennego, ale z cierpliwością odczekamy wynik prób, by po ukończeniu ich z wyczerpującą dokładnością je opisać. Jesteśmy bowiem zdania, że nie należy ukrywać przed najszerszemi warstwami ogółu tych olbrzymich spustoszeń i strat, jakie sprowadzi w przyszłej wojnie ten rozkwitający obecnie nowy przemysł niszczenia i śmierci: tym sposobem tylko będzie można przekonać miarodajne czynniki i ogół, że ludy Europy klęsk przyszłej wojny znieść nie będą w stanie.

Kraków, *Ludwik Sippel.*

---

# Z dziedziny fotografii.

Jak dalece fotografia amatorska rozpowszechniła się w ostatnich czasach, dowodzi chyba ten fakt, że sam optyczny zakład C. P. Goerrtza w Berlinie wykonał w przeciągu 8 lat sw go istnienia (od r. 1893) 100.000 fotograficznych obiektywów. Zważywszy, że liczbe zawodowych fotografów w całych Niemczech i Austryi wynosi najwyżej 6.000, przeto 94.000 obiektywów pozostało w rękach amatorów. Jest to kolosalna cyfra, tembardziej, jeśli weźmiemy pod uwagę mnożącą się z każdym rokiem ilość podobnych fabryk, które przecież prosperują a nawet się bogacą.

* * *

Jednemu z członków Londyńskiego Towarzystwa Klinicznego powiodło się wykonać większą ilość momentalnych zdjęć Roentgenowskich o nadzwyczajnej klarowności. Dotychczasowa konieczność długiego siedzenia była nietylko uciążliwa i przykra dla chorego, ale także i dla lekarza, w tym też celu starano się usilnie usunąć tę niedogodność i o ile możności skrócić czas naświetlania. Rzeczywiście taką fotografię można obecnie otrzymać w jednej a nawet w pewnej części sekundy. Ekspozycya czyli wyświetlanie choćby w 30 sekundach należy dzisiaj wobec tego uważać jako zbyt przewlekłą. Do zdjęć konieczne są rurki Roentgena o nadzwyczajnej wielkości, które nietylko usuwają powyższą usterkę, ale zarazem ułatwiają głębsze przechodzenie promieni w ciało, tak, że na płycie fotograficznej czy na fluoryzującym ekranie łatwiej także mogą być widzialne głębiej leżące części ciała. Shenton za pomocą takiej lampy zdołał n. p. odkryć kamienie nerkowe a w przepuklinach i w wyjmowaniu ciał obcych osiągnął znakomite rezultaty. Lekarz ten opisuje zupełnie pojedynczy sposób, w jaki da się skonstatować położenie obcego ciała w danem miejscu. Mianowicie kiedy aparat rzuci na ekran cień organu i tkwiącego w niem obcego ciała, wówczas rurka wysełająca promienie przenosi się z jednej strony na drugą i tym sposobem rozpoznaje się wskutek zmiany cieni, położenie obcego ciała. Ponieważ zdjęcia takie i plastyczne ich odbicia najzupełniej udały się Shentonowi a jednak z niewiadomych przyczyn nie rozpowszechniły się tak, jakby tego należało się spodziewać, przeto sądzimy, że wzmianka o tem znajdzie odgłos i poparcie w sferach kompetentnych. Nadmieniamy w końcu, że Shenton bezwątpienia posiada największą na cały świat pracownię Roentgenowską i że fotografie wykonane przez niego budzą wprost zdumienie i podziw w sferach fachowych i naukowych. Przy użyciu tych wielkich aparatów nie dostrzeżono zgoła ani wypadków zapalenia skóry ani porażenia oka.

* * *

Najnowsze obserwacye chmur, jakie przedsięwzięto w przeciągu 1$^1/_2$ roku w północno-zachodnich prowincyach Indyi, zostały właśnie opublikowane przez rząd tamtejszy. Badania odnosiły się co do wzniesienia i szybkości chmur, ustalonych za pomocą fotografii. 900 dokonanych zdjęć fotograficznych posłużyło za podstawę blisko 1000 obliczeniom, na których oparła się dzisiaj nauka meteorologii. Właściwości chmur różniły się nadzwyczajnie między sobą w dżdżystej porze roku począwszy od czerwca do października i w suchej od listopada do maja. Podczas letnich miesięcy wzniesienie chmur pierzastych (Cirrus) wynosiło 35.000 stóp a przeciętna ich szybkość 28 km. w godzinie. Przeciwnie w suchej porze roku średnie wzniesienie dosięgło 42.000 stóp a średnia szybkość 125—140 km. w godzinie. Kłębiaste chmury (Cumuli) w dżdżystej porze miały wzniesienie 5.450 stóp a w zimie 4.100 stóp, podczas gdy szybkość ich wahała się pomiędzy 21 a 16 km. Najwyższą szybkość, jaką wogóle ustalono na obserwacyi chmur pierzastych, wynosiła w lutym i marcu 450 km. na godzinę.

*Lwów* *W-i.*

---

# Z EROTYKÓW

II.

O nie mów nic, Ty słodka cicha
Gdy głowę schylę na Twe łono —
I z rozchylonych ust kielicha
Chcę rozkosz pić niewysłowioną.

Słów nam nie trzeba, co czar głuszą
Słowa są nazbyt zimne blade —
Usta na ustach Twoich kładę
I dusza żarem mówi z duszy.

*Elk.*

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

# Z PAMIĘTNIKA PANNY HALI — JEJ „PA“ I „MA“

(Ciąg dalszy). (3)

Wyszliśmy przed skończeniem, bo »Ma« dostała migreny i niepokoiła się, żeby czasem Rozalia, na złość nie dała »Stokrótkom«, gulaszu i obiadu, mogło by to im zaszkodzić.

Ach, te służące, nigdy nie można na nich polegać!

Zdziś już spał i ciocia i Stokrótki, ale Rozalii nie było. P. Henryk musiał zawołać stróżki, żeby nam zrobiła herbaty i odgrzała co z obiadu. Stróżka powiedziała, że Rozalia musi być na czwartem, tam, gdzie te kawalerskie mieszkania, bo ona ją tam już nieraz widziała...

Wszyscy byli bez humoru, »Ma« zabrała »Stokrótki« i poszła spać, a »Pa« pił piwo z p. Henrykiem i w końcu powiedział:

— Psiakość nóżki baranie, to blaga ta muzyka dzisiejsza! Cóż mi to za opera, z której nic wygwizdać nie można! Moniuszko, ten ma kawałki ładne, Verdi to jest muzyka, można nawet ją wygrać nożem na pustej butelce... Ale Wagner i jak się tam wabią... to zawracanie głowy porządnym ludziom i nic więcej...

Tak, »Pa« jest bardzo muzykalny, bo ile razy ja gram nowego walca albo na podwórzu zagra katarynka, to on wszystko zaraz wygwiżdże...

— — — — — — — — — — —

*Niedziela.*

»Pa« przy śniadaniu się irytował, że za wiele bierzemy walizek. A wszystkiego jest cztery, mały koszyk i kufer!

Same najniezbędniejsze rzeczy. Prócz tego »Ma« zapakowała dwa funty herbaty, szynkę i parę funtów cukru — bo tam podobno wszystko bardzo drogo.

»Pa« zabiera dwa tysiące papierosów.

Idziemy zaraz na summę, czekamy tylko na p. Henryka.

*Wieczorem.*

Już wieczór! Boże, jak ten czas prędko leci! Nie, właściwie tak wolno się wlecze, że już nie wiem, czy się doczekam tego wtorku! Żeby to prędzej, bo suchot dostanę i umrę, albo co.

Poszliśmy sami do kościoła, bo p. Henryk nie przyszedł, tłumaczył się później, że musiał za kolegę dyżurować w szpitalu, że było tylu chorych nowych... ale »Ma« mu powiedziała:

— Obowiązki względem Boga są ważniejsze; ten jest tylko człowiekiem, kto je wypełnia sumiennie i nie zna wyższych ponad niemi!

O, »Ma« umie mówić. Mnie się żal zrobiło p. Henryka. Co prawda, chorzy mogli poczekać, przecież i tak odrazu nie wyzdrowieją! a ja musiałam iść tylko z »Ma« i »Pa« do kościoła.

Nie lubię w niedzielę chodzić do kościoła, bo taki tłok, taki zaduch i tyle pospólstwa, że wytrzymać nie można. A tak się to wszystko tłoczy i rozpycha jak u siebie w domu — całą falbanę oberwali mi dzisiaj!

Naprawdę, ale nie powinni tak wszystkich wpuszczać do kościoła.

Dopiero po kazaniu przyniósł nam kościelny krzesła.

Takie dlugie to nabożeństwo... Ja się modliłam, ale cóż ja zrobię, kiedy już na »Ofertorium« tak mi powieki ciężyły, że musiałam je podnosić palcami, a i to niepomogło.

Pan Henryk czekał już na nas przed kościołem i poszliśmy razem przejść się po Krakowskiem Przedmieściu.

Pogoda była okropna, kapało z dachów i takie błoto!

Ale tak przyjemnie patrzeć na ludzi, na doróżki, na tramwaje... szkoda tylko, że w niedzielę pozamykane są wystawy sklepowe...

Spotkałyśmy Ceśkę z matką, ukłoniłam się im ale... ale była tak ubraną, że doprawdy trochę mi było wstyd... Nie miała nawet kaloszy, i szedł z niemi ich lokator. Okropny, nieuczesany i w takiem oberwanem palcie! Jak ona się nie wstydzi chodzić z nim po ulicach!

A potem szły panny Malinowskie z ojcem. Wcale nieładne i tak pretensyonalnie ubrane... ale »pa« powiedział, że każda z nich, sztuka w sztukę warta po sto tysięcy i jedną ciotkę bogatą.

Wcale mi to nie imponuje. Tylko to jest niesprawiedliwie, żeby takie brzydkie, były takie bogate. Pewnie pochodzą z żydów, bo skądżeby nasze...

Jakichś dwóch panów przechodziło obok nas i jeden powiedział cicho. — Patrz, jaka śliczna dziewczyna! Czułam, że się rumienię.

Ale, naprawdę to było do mnie, bo tak mi zajrzał w oczy.

»Ma« powiedziała, że wkrótce porządni ludzie nie będą mieli gdzie spacerować, bo już wszystkie szwaczki i wszystkie sklepiczarki spacerują po Krakowskiem. »Ma« mówi prawdę, bo spotkaliśmy naszych lokatorów z drugiego, którzy mają sklep z papierem! Jakie kapelusze, jakie okrywki, jakie miny — naprawdę, ale lepiej się ubierają niż my, a o komorne to »pa« niemoże się ich doprosić i już im raz robił zajęcie.

Byliśmy także na wystawie sztuk pięknych, bo deszcz zaczął padać... i ani jednej doróżki nie było... Chodzimy tam często, bo »Pa« jest członkiem. Ogromnie dużo ludzi było! Boże! jaki ja tam widziałam kapelusz! filcowe czarne rondo, główka ubrana czarną jedwabną krepą, otoczona ogromnemi piórami strusiemi, czarnemi, i nad czołem spięcie z brylantów! Cudny poprostu! Żebym ja to mogła mieć taki! a brylanty prawdziwe, widziałam — umyślnie zaszłam z boku pod światło — błyszczały jak gwiazdy!

Ale na wystawie nie ma nic szczególnego, same wody, lasy, zachody słońca, młyny — lepsze widziałam na letniem mieszkaniu.

»Pa« powiedział, że na drugi rok już nie kupi biletu, bo szkoda pieniędzy i mamy już dosyć tych landszaftów, jakie towarzystwo daje członkom. Chyba, że będą dawali w porządnych złotych ramach!

P. Henryk zaprowadził nas do osobnej sali na »Szał« Podkowińskiego. Ciągle o tem piszą w kuryerach i cała Warszawa chodzi oglądać.

Tak się zmieszałam, tak mi było wstyd, że udawałam, iż patrzę na inny obraz, bo ona na tym obrazie jest zupełnie... no zupełnie bez ubrania... niema nawet k... nawet... m... ale śliczna, tylko że włosy, to ma z pewnością farbowane.

Wyszliśmy zaraz, bo »Ma« się oburzyła na p. Henryka, że na takie bezecne rzeczy nas zaprowadził.

Rzeczywiście, żeby chociaż włożyła k... Nie, nigdybym w życiu... spaliłabym się ze wstydu...

»Pa« się też rozgniewał i powiedział takie pater noster p. Henrykowi — że aż mi żal go było.. że, powiada »Pa«:

— Psiakość nóżki baranie, gdzie tu jest sztuka? Goła pannica na koniu — to ma być sztuka? — sztuka dla porządnych ludzi, dla rodzin polskich! Nasza, polska sztuka? — Albo ja, Jan Gwalbert, ja mąż, ja ojciec, ja obywatel się nierozumiem na sztuce — albo świat idzie na psy albo na socyalisty. — I ma tu być Polska! malują gołe panny, jakieś nastroje, jakichś oberwańców, chłopów, żydów i inne tałałajstwo, i ma tu kraj się podnieść! Mają nas za to szanować! Nie, musimy zginąć! I do tego każą nam płacić za oglądanie takich paskudztw, każą chodzić, każą popierać polską sztukę, bo inaczej, to gazety wymyślają nam zaraz od Bóg wie jakich! Cóż to psiakość nóżki baranie, to ja płacę pięć rubli rocznie gotowemi pieniądzmi i nie mogę zaprowadzić córki ani żony na wystawę, żeby się niezgorszyły! Pokazują nam za nasze własne, ciężko zapracowane pieniądze gołe łafiryndy, porozbieranych parobasów, i jakieś tam głupie ni w pięć ni w dziewięć figlasy! To są kpiny z porządnych ludzi! Trzebaby o tem napisać do Kuryera, co oni sobie myślą... ci... ci... pacykarze... Jak sufitu, to nie ma kto porządnie wymalować, bo wszyscy są panowie artyści malarze — tfu psiakość nóżki baranie...

Dawno nie widziałam, żeby się »Pa« tak mocno rozgniewał. Poszedł do swojego pokoju i mówił, że zaraz musi napisać o tem do Kuryera, żeby mu nieprzeszkadzać... Rozalia zaniosła mu kawę i powiedziała, że »Pa« się położył i prosił, żeby Zdziś nie hałasował, bo odpocznie i zaraz się weźmie do pisania.

Myśmy z p. Henrykiem poszli do saloniku, żeby nie przeszkadzać, i zaledwie zaczął mnie przepraszać... weszła ciocia. Że też bo te ciotki, to nigdy nie wiedzą kiedy wejść... Jakby nie miała swojego pokoju..

P. Henryk tłumaczył, że »Pa« niesprawiedliwie sądzi sztukę dzisiejszą.

Może ma racyę, ale »Pa« od tylu lat jest członkiem towarzystwa zachęty sztuk pięknych, to także musi się znać na sztuce...

— — — — — — — — — — —

*Wieczorem.*

Jutro poniedziałek, a we wtorek rano jedziemy!

Boże, to jeszcze całe dwie noce i jeden dzień!

Przed wieczorem przyszła Nacia i prosiła nas, abyśmy do nich poszli na herbatkę, że będzie parę osób znajomych i jeden malarz, i jeden młody literat!

Nie byliśmy!

»Pa« powiedział, że ma już dosyć polędwicy z groszkiem, kiepskiego piwa i preferansa po groszu. Woli iść do resursy na winta i poszedł na cały wieczór. »Ma« i ciocia poszły na rekolekcye do Pijarów, a p. Henryk miał iść zaraz na dyżur do szpitala!

Ale czy poszedł? Czy to można wierzyć mężczyznom?

Przecie my, kobiety, zawsze jesteśmy ofiarami i męczennicami, jak »Ma« mówi!

Przyjechał ten oficer! Wyjrzałam cichutko na schody... tak, poszedł do tych... dobrze widziałam...

Stokrótki już śpią, a ja jestem taka sama, sama, taka najsamsza...

— — — — — — — — — — —

*Poniedziałek.*

To już jutro!

Nie, niechce mi się wierzyć, że to już naprawdę jutro.

Umieram z niecierpliwości.

A »Stokrotki« tak skomlą radośnie i tak się cieszą do mnie, że aż mi się chce płakać czegoś...

»Pa« musiał znowu przyjść późno, bo »Ma«, kiedy przyszedł na śniadanie, nie dała się pocałować i wyszła z pokoju.

O, jabym już całe życie się gniewała. I właśnie, na złość, kiedy mąż przychodzi późno, to i jabym przychodziła jeszcze później, jeździłabym na bale, tańczyła, chodziła na maskarady, do teatrów. Oho! znalazłabym zawsze kogoś, ktoby mnie odprowadził. To nie takie trudne. Przecież tej doktorowej z pierwszego piętra, to zawsze towarzyszy ten wysoki blondyn... Już się nawet »Ma« tem gorszy.

A jakby mi mąż robił wymówki,, to powiedziałabym zimno, nie patrząc na niego: »co mój mężu? Dobrze mój mężu! Jak chcesz mój mężu!« Ciekawą miałby minę i napewno oduczyłby się przychodzić nad ranem.

Teraz dopiero rozumiem, co ciocia zawsze mówi »Ma«:

— Kobieta jeśli chce być szczęśliwą, musi sobie męża wychowywać i urabiać. Od pierwszego dnia nie pozwalać na żadne wybryki i trzymać go żelazną ręką... Obietnicą pieszczoty można mężczyzn zaprowadzić chociażby do zbrodni!... Ciocia miała trzech mężów,.. no i tak ich urabiała... że pomarli! Ale swoją drogą ma racyę, bo jak się gniewam na p. Henryka i niedam się c... to taki pokorny, tak mi patrzy w oczy, taki nieszczęśliwy —

I zawsze to robi później co chciałam.

»Ma« jak się gniewa na »Pa« to zawsze przy kolacyi dysponuje Rozalii:

— Pościelesz panu w gabinecie!...

Aha, teraz to dopiero zrozumiałam!

— — — — — — — — — — —

Ciąg dalszy nastąpi.

Nakładem Redakcyi »Głosu Narodu«. Z Drukarni Narodowej w Krakowie.